

Kazimierz Orzechowski

"Mecenas" : dzieje pojęcia i kilka refleksji o adwokaturze Szlacheckiej Rzeczypospolitej

Palestra 40/3-4(459-460), 74-78

1996

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

„Mecenas” – dzieje pojęcia i kilka refleksji o adwokaturze Szlacheckiej Rzeczypospolitej

Tylko w polszczyźnie i tylko w polskiej kulturze prawniczej i prawnej istnieje ów nobliwy, zarazem zawodowy jak honorowy tytuł – **mecenas**, powszechnie u nas przysługujący adwokatom. Pragnąłbym zatem dziś poświęcić kilka refleksji jego powstaniu, późniejszym dziejom i społecznemu odbiorowi.

Skłania mnie do tego również coś innego. Oto dość często – i to od najszacowniejszych przedstawicieli palestry – słyszy się pogląd, że tytuł ten został wzięty od sławnego potomka etruskich królów, protektora Horacego, któremu ów genialny poeta dedykował swe „Carmina”, zaraz w pierwszej z nich:

*Maecenas atavis edite regibus
O et praesidium et dulce decus meum...*

Tymczasem jednak rzecz przedstawiała się inaczej, przy tym – koniec końców – nic szlachetności temu tytułowi nie ujmując.



Zastępstwo procesowe, występowanie przed sądem w cudzym imieniu, jest praktyką i instytucją bardzo starą, toteż nic dziwnego, że tak bogate i archaiczne jest jego u nas nazewnictwo. Już Gall-Anonim w początkach XII w. pisał o Chrobrym, że w procesach bronił interesów Kościoła „**sicut patronus et advocatus**” – jako patron i adwokat, komu innemu zlecając wyrokowanie. Ciekawsze i ważniejsze są w tym względzie przekazy zawarte w aktach normatywnych i księgach sądowych. Odpowiednia łacińska terminologia z czasów do końca XIV w. zawarta w Statutach Kazimierza Wielkiego i zachowanych sądowych zapiskach – w kolejności określonej przez częstość ich występowania – jest następująca:

„**Amicus**” – przyjaciel, również w znaczeniu „krewnego”, choć tutaj procesowa jego funkcja jest jeszcze jedną z wielu i dość zatarta; „**responsalis**” – czyli ten, który w sądzie zamiast strony „odpowiada”; „**procurator**” – już ściśle w procesowo-prawnym rozumieniu, przejęty z prawa rzymskiego, zwłaszcza w statucie małopolskim; „**prolocutor**” – ten który w sądzie przemawia; „**advocatus**” – powołany, wezwany, przy czym jednak należy pamiętać, że to także i przede wszystkim łacińska nazwa miejskiego wójta, terminologiczna zbieżność jest tu czysto przypadkowa; „**factor**” – jako ten, który działa przed sądem; „**actor**” – w tym samym co poprzednie znaczeniu, aczkolwiek tym samym wyrazem, za rzymskim wzorem, najczęściej po łacinie określano powoda; „**causidicus**” – jako ten, który

„mówi w sprawie”, na koniec wreszcie nawet „nuntius” – poseł, ale jest oczywiste, że nie w sensie zwykłego posłańca.

Zwróćmy uwagę, że w tym wyliczeniu brak jest nazwy „patrona”, jeszcze przed stuleciami powołanej przez Anonima. Nie jest więc wykluczone, że naszemu pierwszemu kronikarzowi w jednym z użytych słów szło wówczas o podkreślenia prawa patronatu władcy wobec Kościoła, nie zaś – jak przy „adwokacie” – o sprawowane przez króla procesowe zastępstwo.

Wiek XV i pierwsze lata następnego stulecia przynoszą tu rzecz bardzo cenną, mianowicie ówczesną rodzimą polską terminologię, niewątpliwie już techniczną, a także łacińską spolonizowaną. Myślę tu o polskim tłumaczeniu Kazimierzowych Statutów, w 1449 r. sporządzonym przez Świętosława z Wojcieszyna „magistra i doktora, kustosa warszawskiego kościoła Św. Jana”, oraz o anonimowym ich przekładzie przypuszczalnie z 1503 r. Procesowy zastępca występuje w nich jako „przyprawca”, „pierca”, „rzecznik”, „mówca”, wreszcie jako spolonizowany „prokurator”. Dwa pierwsze terminy wywodzą się z „przy”, co ówczesnie oznaczało spór toczony przed sądem. „Przypierca–pierca” to osoba, która zamiast strony „spiera się” przed sędzią. Wyraz „rzecznik” akcentuje fakt, iż zastępca procesowy reprezentuje interesy strony. Ostatni wreszcie ma treść czysto techniczną: ten który w procesie przemawia i składa potrzebne oświadczenia.

W XVI wieku, może pod wpływami Odrodzenia, archaiczna polska terminologia stopniowo zanikała, upowszechniały się natomiast nieznacznie tylko spolszczone nazwy brane żywcem z prawa rzymskiego. Wówczas też upowszechnił się wyraz „prokurator” w znaczeniu zastępcy procesowego. XVII-te stulecie dorzuciło do niego dalsze, równie, jeśli nie bardziej jeszcze popularne: „plenipotent”, zwłaszcza zaś „patronus–patron”, często z przydawką jako „patron prawny”, „patronus cause” lub „causarum”, najczęściej stosowane przemiennie z „prokuratorem”. Nie brak zresztą w tym czasie i innych terminologicznych nowości, znacznie jednak mniej popularnych niż poprzednie: „promotor” jako ten kto „popiera”, „posuwa naprzód” sprawę, „umocowany” – dosłowny choć niezbyt zręczny polski odpowiednik plenipotenty, „defensor” – obrońca w sprawie, „jurysta” czyli w ogóle prawnik, z tym że tutaj w zawężonym rozumieniu, czy wreszcie „palestrant”. To ostatnie jako widome następstwo zadomowionego już teraz pojęcia palestry.

I tak dochodzimy do sedna interesującej nas tutaj rzeczy. Oto bowiem w XVII stuleciu, najpierw z rzadka, potem coraz częściej, pojawiało się nowe słowo dla oznaczenia zawodowego procesowego zastępcy, mianowicie „mecenas” jako synonim „adwokata” i innych jemu podobnych.



Jakaż zatem była geneza tej nowej nazwy, która później tak wielką uczyniła karierę?

Pierwsze o tym wiadomości przynosi już panowanie Zygmunta Starego. Gdy bydgoski sejm z 1520 roku uchwalił generalne pogłównie – coś w sensie dzisiejszego dochodowego podatku od osób fizycznych – król w odpowiednim podatkowym uniwersale wymienił 3 floreny przewidziane od „procuratores pecuniarii”. Łatwo

zgodną, że owi „**pieniężni prokuratorzy**” to zastępcy procesowi działający za zapłatą. Mamy w tym dowód, że już od pewnego czasu (trudno w tej chwili orzec od jak dawna) zastępstwo procesowe stało się zawodem i źródłem utrzymania, teraz opodatkowanym. Drugą wiadomość daje konstytucja sejmku z 1543 r., zatem z czasu panowania tego samego władcy. Mowa w niej mianowicie o „**procuratores mercenarii**”, qui mercede conducti hominum causas in iudiciis... procurant”, czyli o adwokatach, którzy „zapłatą przywiezieni dbają o spory ludzi przed sądami”. Tutaj „**mercenarius**” jest synonimem wcześniejszego „**pecuniarius**”, bo też klasyczne „**merces**” to nic innego jak zapłata za wykonaną pracę.

Kolejne dziesięciolecia, zwłaszcza zaś wiek XVII, przyniosły tu pewne terminologiczne uproszczenie: pomijać bowiem zaczęto rzeczownik (procurator) ograniczając się tylko do jego przydawki „**mercenarius**”. Z tego zaś po swobodnym spolszczeniu w potocznej mowie powstał istniejący do dzisiaj zawodowy tytuł: *mecenas*. Wnet też stał się technicznym określeniem, zadomowionym nawet w normatywnych aktach jakimi były konstytucje sejmowe, głównie w XVIII w., w czasach Stanisławowskich, np. z lat 1764, 1766, 1768 i innych.

Jesteśmy więc – być może nieprzyjemnie – zaskoczeni. Widać bowiem, że dzisiejszy szacowny i honorowy tytuł tkwi swymi korzeniami w czymś raczej przyziemnym, w wynagrodzeniu za pracę względnie za dzieło. Trudno więc nie zadać sobie pytania, jak doszło do tej zadziwiającej metamorfozy.

Odpowiedź leży w dziejach dawnej polskiej palestry. Nazwa jej pojawiła się w XVII wieku na oznaczenie nieformalnej zbiorowości zawodowej zastępców procesowych, etymologicznie wywodząc się ze starogreckiego „**palaistra**”, czyli ogólnie wzięwszy „szkoła”. Myślę, że tu właśnie należy poszukiwać drogi, która wiedzie od wynagrodzenia za pracę do dzisiejszego szacownego tytułu. Postaram się uzasadnić ten mój pogląd.

W XVIII wieku palestra szlacheckiej Rzeczypospolitej posiadała już swą zarysowaną wewnętrzną organizację i wyraźne zawodowe zróżnicowanie. Przeciwstawiano w nich „**mecenasów pierwszej klasy**” czyli wszystkich występujących pod znanymi nam już nazwami, niższej kategorii, mianowicie „**mecenasom drugiej klasy**”. Co do nich źródła przekazują nam cztery nazwy i odpowiadające im cztery kategorie „**niższych mecenasów**”: „**agentów**”, „**dependentów**”, „**attendentów**” oraz „**aplikantów**”. Agenci i dependenci byli fachowymi już pomocnikami *mecenasów pierwszej klasy* jako ich pryncypałów, pozostali zaś, *atendenci* i *aplikanci* – uczniami *mecenasów pierwszej klasy*, szkolącymi się w prawie. W dawnej Rzeczypospolitej nie wymagano odpowiednich studiów dla wykonywania prawniczego zawodu. Dlatego też faktyczne nauczanie prawa, zwłaszcza procesowego i sądowej praktyki, rzeczy niezmiernie ważnej przy ówczesnym skrajnym procesowym formalizmie, stało się zadaniem „*mecenasów pierwszej klasy*” i na ich spoczęło barkach. Jest to fakt, którego doprawdy nie można przecenić w prawnej kulturze Polski tamtych czasów. Jest to więc dostateczna podstawa i zarazem wyraźna droga, która tytułowi „*mecenas*”, mimo jego szarych i niepozornych początków – przydała blasku i szacownego honoru, zachowanych aż po dzień dzisiejszy.



W sposobie, w jaki ongiś zawód zawodowego obrońcy funkcjonował w społecznym odbiorze, jest jednak pewien drastyczny i niespodziewany dysonans. I to jest druga rzecz, której chciałbym dziś poświęcić nieco uwagi.

Wiadomo, że przysłowia są mądrością narodów. Wśród nich, i to nie tylko polskich, lecz właściwych też innym społeczeństwom śródziemnomorskiej cywilizacji, w XVII i XVIII wieku jest też to, iż zawodowy prawnik nie może być dobrym chrześcijaninem. A w ogóle któż z nas nie zna i nie zachwycał się „Zemstą” Fredry i nie ma we wspomnieniu krewkiego rębajły cześnika Raptusiewicza z jego manifestacyjną pogardą dla rejenta Milczka, zawodowego prawnika, pokornego i uniżonego – choć przecież, jak i cześnik, osiadłego szlachcica – który jednak z łatwością wyprowadza w pole swego zarozumiałego adwersarza? I wspomniane przysłowie i sztuka Fredry mówią przecież koniec końców tym samym głosem, równie krytycznym i niechętnym w stosunku do „mecenasów”. Sprzeczność między szacownością tytułu i społecznym osądem jest tu naprawdę uderzająca i trzeba choć w pewnej mierze ją wyjaśnić. Myślę, że jest to stosunkowo proste.

Najpierw sięgnijmy znów do dawnych przysłów, do tego, które mówi o łyżce dziegiu niszczącej całą beczkę miodu, czy o „czarnych owcach” rzucających cień na całe stado. Takie też bowiem – przynajmniej w części – było źródło i mechanizm tej szokującej sprzeczności.

Wśród dawnych adwokatów takich „czarnych owiec” z ich nagannymi zachowaniami nie brakło, skoro wielokrotnie zajmował się nimi w swych konstytucjach Sejm, ów najwyższy organ Rzeczypospolitej. Już od początków XVI w. – jeśli nie wcześniej – nakazywał on adwokatom składanie specjalnych zawodowych przysięg, mających z ich strony wykluczyć nadużycia i nieuczciwości. Nierzadko też w odpowiednich uchwałach wprost wymieniano takie naganne praktyki, szczególnie nagminne. Tak np. w ordynacji sądów zadwornych z 1683 r. piętnowano przychodzenie plenipotentów pijanych na rozprawy, zwłaszcza zaś nieuzasadnione przedłużanie przez nich procesów, z jednego procesu wywodzenie dalszych bez żadnego powodu, udzielanie stronom niesłusznych i szkodliwych, przyprawiających je o straty porad i w ogóle doprowadzanie do majątkowej ruiny tych, których zastępowali przed sądem. Obraz podobny, lecz jeszcze bardziej mroczny daje się też wyczytać z rot przysięg trybunalskich adwokatów, koronnych i litewskich, w 1726 r. przez sejm nakazanych. Ujmując *a contrario* zawarte w nich formuły otrzymujemy następujący wykaz: niewierność adwokata w stosunku do strony; działanie w sądzie na korzyść jej przeciwnika; zrzekanie się prowadzenia sprawy mimo wcześniej otrzymanej zapłaty; niewykorzystywanie ku szkodzie strony dowodów przez nią dostarczonych lub czynienie tego w sposób opaczny i niewystarczający; zatajanie tych dowodów; po zapoznaniu się z dowodami przedstawianymi przez stronę przechodzenie do jej procesowego przeciwnika oraz doprowadzanie strony do majątkowej ruiny poprzez mnożenie zbytecznych procesowych kosztów.

Katalog to zaiste ponury.

Dla ilustracji przytoczmy rotę takiej przysięgi z Litewskiego Trybunału: „... przysięgam panu Bogu w Trójcy Świętej Jedynemu na tym, że w tych sądach Trybunalskich, poruczone sobie negotia pryncypałów swoich wiernie promować będę, jednej stronie podjąwszy się et in consilium wszedszy, i dokumenta przejrawszy, na drugą nie udam się partię, także onej favere nie będę, prawa, statuta i konstytucje, tak, jak w sobie brzmią, allegować, et similiter documenta czytać będę, na czym jako sprawiedliwie przysięgam, tak mnie Panie Boże dopomóż, a jeżeli niesprawiedliwie, Panie Boże mię ubij”.



Nieuczciwością jednak byłoby na tym rzecz kończyć, bowiem wina za ów smutny stan w rzeczywistości obciążała głównie nie prawników, lecz procesowe strony. Dobrze wiedział to Sejm. Dla przykładu przytoczę tu zatem, w wyjątkach, konstytucję z 1638 r., tym razem już zastępując przekładem jej liczne łacińskie wtręty. Kreśli ona najpierw typowe postęпки procesowej strony: „Iż... niektórzy na wywrócenie dekretów Trybunalskich w poważnych sporach otrzymanych, plenipotentowi o znowę z stroną, albo o upuszczenie obron, sprawę do drugiego Trybunału intentowawszy, y stronę przypozawawszy, plenipotentowi ewazyi dopuszczają, a dekreta Trybunalskie znoszą...”. W dalszej zaś kolejności przewiduje środki dla zwalczania takich procederów, adresowane zarówno do nieuczciwych plenipotentów jak procesowej strony: „... zabiegając tedy temu, postanawiamy, że gdzieby plenipotens był skazany za zdradę popełnioną przeciw jego pryncypałowi, tedy na gardle karany będzie, a sprawa ona do poprzedniego ma być przywrócona stanu, a ten który plenipotentu przenäjął, ma sto kop... zapłacić, nie odchodząc ze sądu, stronie powodowej, nie Trybunałowi. A gdzieby też kto przeciw plenipotentowi sprawę intentowawszy, nie dowiódł na niego zdrady, albo też do wyroku na niego doprowadzić nie chciał, tedy sto kop... plenipotentowi, a drugie sto kop winy stronie pozwanej, nie odchodząc od sądu zapłaci, a on dekret ma już nieporuszony zostawać”.

Z tekstu jasno wynika, że „złym duchem” i *spiritus movens* takich występnych procederów była w zasadzie strona, nie jurysta, choć to ten drugi stokroć surowszą miał ponieść karę. Że wszystko to, cały taki proceder nie był czymś tylko wyjątkowym, lecz częstym, dowodzi istnienie już dlań technicznego prawniczego (niemal „instytucjonalnego”) określenia. Było to „przenajęcie plenipotentu”. I tylko cieszyć się nam trzeba, że dziś w prawniczym języku nie istnieje już nawet ślad tej nazwy.



Zakończę żartobliwie pewnym terminologicznym szczegółem z tamtych czasów. Oto słowem „pryncypał” określano nie tylko mecenasa w stosunku do jego subalternów, ale również, w stosunku do samego mecenasa stronę, która powierzała mu swą sprawę. Rzecz w tym, że w tym drugim zastosowaniu ze słowem pryncypał skutecznie i nagminnie konkurowało również inne, mianowicie „pacjent”.

(Wystąpienie na Jubileuszu Pięćdziesięciolecia Adwokatury Dolnośląskiej,
Wrocław, 20 stycznia 1996 r.)